

BOHDAN

PETECKI

W POŁOWIE DROGI



Bohdan Petecki

W POŁOWIE DROGI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-10-2

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1971, seria "Z jamnikiem"

Projekt okładki: Albert Łukasiak

Korekta: Monika Siemieniacka

SŁOWO OD AUTORA

W naszej rodzinie planetarnej jeden tylko glob hojnie i bez miary szafuje energią sprężoną w jego środowisku grawitacyjnym na rzecz materii ożywionej, jej nieposkromionej, żarłocznej ekspansji. Jest nim Ziemia, ojczyzna ludzi. Krążąc po orbicie przecinającej centrum słonecznej ekosfery przypomina zdrową, inteligentną istotę stojącą na przedprożu soczystej dojrzałości, buntuje się przeciw wszystkim i wszystkiemu, sięga do gwiazd ani dbając, że jej przyszła osobowość, jej własny kościec wypełnia dopiero wrzącą, plazmową masą formy, których ostatecznego kształtu nie sposób się choćby domyślić. Miną dziesiątki i setki wieków zanim to szlachetne tworzywo stężeje w szlachetny kruszec, zanim Ziemi i zamieszkującej ją rasie zaświta słodko-cierpka jesień, stateczna i owocująca. Czyż nie smutna to perspektywa? Może więc machnąć ręką na to, co będzie, beztrąsko lecieć ku gwiazdom, ponieść innym światom piorunujący ładunek uczuć i myśli współczesnego człowieka?

Akcja tej opowieści toczy się na Marsie, ale nie chodzi o Marsa. Jej bohaterami nie są przybysze z przestrzeni, tylko istoty, które za dwa, trzy lata naprawdę staną na czerwonej planecie. Staną tam w każdym razie wcześniej niż w roku dwa tysiące osiemdziesiątym drugim i z pewnością nie znajdą śladów gości z kosmosu.

Ale czy mimo wszystko nie opłaciłoby się przed tym raketowym wymarszem przemyśleć do końca to i owo tutaj, na tej planecie, której żywy obraz poniesiemy mieszkańcom kosmosu?... Bo ostatecznie, u licha, mogłoby się zdarzyć, że...

ROZDZIAŁ I

Ann Thorson usiłowała balansować, uginając nogi w kolanach, ale ściągnięta potężną siłą runęła na podłogę, pokrytą w tym miejscu jedynie cienką warstwą pianolitu. Zdążyła wyrzucić przed siebie ramiona i unieść nieco głowę, kiedy statkiem targnęła nowa seria wstrząsów. Potton, który rozluźnił uchwyty swojego fotela chcąc przyjść jej z pomocą, poleciał do przodu, odbił się od ściany tuż pod głównym ekranem neuraksa i pochwycił poręcz siedzenia Batuzowa, zawisł w powietrzu. Jego nogi opisały szeroki łuk, trafiając po drodze w prawy barm Leny Sakadze. Twarz Leny skurczyła się z bólu, ale jej krzyk zginął w piekielnym jazgocie czujników i zgrzycie powłoki. Mogło się zdawać, że jakieś gigantyczne kleszcze drą na wąskie pasy cały korpus rakiety.

Nagle wszystko ucichło. Jeszcze trwali bez ruchu, kurczowo zaciskając palce na poręczach i uchwytach, oszołomieni i potłuczeni, przygotowani na najgorsze.

Ekran zajaśniał spokojnym, równym blaskiem, błękitne oko wariomatu wypłynęło na środek tarczy, cyfry i linie w okienkach automatów nawigacyjnych, które przed chwilą pędziły jak oszalałe stapiając się w migocące pasy, zwolniły, jakiś czas jeszcze falowały, wreszcie przystanęły.

Usłyszeli głos pilota, Andrzeja Batuzowa. Cały czas podawał współrzędne. Jego słowa tonęły dotychczas w strasliwym hałasie.

- Zero i osiem, dwadzieścia jeden,
- zero i siedem, dwadzieścia jeden,
- zero i sześć, dwadzieścia,
- zero i pięć, dwadzieścia,
- zero i cztery, dziewiętnaście,
- zero i cztery...

Automaty sterownicze wyrównały tor lotu, jednak rakieta ospale, jakby niechętnie reagowała na ich manewry.

Zero i cztery – wartość wychylenia przestała się zmniejszać.

– Zostaw, Andrzeju, nie trzeba – powiedziała Ann – jesteśmy na torze.

Piotr porównał wskazania automatów.

– Odrzuciło nas o cztery stopnie od płaszczyzny orbity lądowania – powiedział.

Pochylił się nad pulpitem neuraksa. Za chwilę w głównym ekranie ujrzeli obraz kontrolny węzłowych połączeń systemu napędowego i układu nawigacyjnego statku.

– Łączność?

– W porządku – odpowiedział Batuzow. – Kamery całe, rozrząd działa sprawnie.

– Poczekaj, pomogę ci – Potton wstał, spojrzał podejrzliwie w okienka wskaźników i pochylił się nad Ann, ciągle jeszcze klęczącą na podłodze. Podtrzymał ją, ulokował w fotelu nawigatora i sięgnął po paczuszkę z opatunkiem uniwersalnym.

– Jak się czujesz?

– Już dobrze, dziękuję – Ann nadrabiała miną, ale równocześnie zaciskała wargi z bólu. Była dotkliwie poturbowana, nad okiem twarz zaczynała już puchnąć.

Lena Sakadze, cybernetyk, sekretarka naukowa Instytutu Kaukaskiego rozcierała drętwiejący bark.

– Co to mogło być?

– Nie spuszczałem wzroku z ekranów – powiedział Andrzej. – Ani neuraks, ani czujniki do ostatniego ułamka sekundy nie sygnalizowały żadnych przeszkód. Potem, oczywiście, zaczęły się miotać jak opętane, ale myślę, że raczej pod wpływem piekielnego tańca statku, niż jakichkolwiek impulsów z zewnątrz.

– Ciekawa jestem, czy odczuliście to tak samo jak ja – odezwała się Ann. – Kiedy leżałam na podłodze wydawało mi się, że słyszę uderzenia w spód rakiety. Jakby z dołu do nas strzelano...

– Może to były salwy powitalne. A ludzie mówią, że na Marsie nie ma cywilizacji – zażartował Batuzow.

Nikt nie odpowiedział.

Potton spoglądał w czarno-niebieskie ramki wskaźników i tarczę wariomatu. Ann i Lena odruchowo pochyliły się nad ekranami kamer, wycelowanych w powierzchnię planety.

Horyzont wypełniała ogromna, wklęsła tarcza Marsa. Tylko niewielka jej część błyszczała w słońcu, jak gigantyczne, rogalikowate zwierciadło. Cała niemal widoczna powierzchnia czwartej planety układu słonecznego tonęła w mroku.

Od trzech godzin przygotowywali się do lądowania. Od trzech godzin w czołowych ekranach błyskały sinozielone płomienie, wyrwijące się z wylotów silników hamujących. Ciśnienie na powierzchni Marsa jest dziesięciokrotnie mniejsze od ziemskiego. Na skutek małej siły przyciągania gęstość atmosfery nie maleje z wysokością tak szybko, jak na naszej macierzystej planecie. Na wysokości dwustu dwudziestu tysięcy metrów, na jakiej leciała teraz rakieta, ciśnienie atmosferyczne było znacznie większe niż na tej samej wysokości nad ziemią. Dlatego z taką uwagą śledził kierownik ekspedycji, Piotr Potton, astrofizyk, aparaturę kontrolną silników hamujących.

– Trzeba by przeanalizować to, co się nam przydarzyło... – powiedziała niezdecydowanym głosem Ann.

– Konfrontacja? – podchwyciła Lena. – Zaczynaj, Piotrze.

– Później. – Potton, wpatrzony w ekran, manewrował przyciskami w pulpicie neuraksa.

– Za cztery minuty będziemy nad biegunem. Zeszliśmy trochę za szybko w czasie tego tańca. Na następnej orbicie możemy już być za nisko. Popatrzcie w dół. Tutaj będziemy lądować. Andrzej, sprawdziłeś wyrzutnie?

– Wszystko gotowe.

– Uwaga – będę podawał czas.

Potton wpatrzył się w różowy prostokąt z boku ekranu, w którym widniał model planety. Dokoła spłaszczonej kuli nawijały się czarnymi niteczkami kolejne orbity drogi, przemierzanej przez ich statek.

W momencie, kiedy wirujący powoli model globu dotknął białym biegunem skrzyżowanych w środku pola współrzędnych, Piotr zaczął liczyć:

– Siedem,

– sześć,

– pięć,

– cztery,

– trzy...

Wtedy właśnie Potton szarpnął czerwoną gałkę regulacji ciągu silników hamujących. Ekran pojaśniał, zniknęły pasma płomieni buchających dotychczas z czołowych dysz. Statek, jak gdyby pozbawiony nagle ciężaru, uniósł się lekko, nieznacznie zmieniając orbitę.

– jeden,

– zero,

– start!

W kabinie rozległo się krótkie, głębokie westchnienie, tak to usłyszeli. Przez główny ekran przemknęła błękitna smuga. Kopernik – taką nazwę nosiła rakieta na śnieżnobiałym, helokokosowym dziobie – wystrzelił stacjonarnego satelitę komunikacyjnego. Zawieszony na wysokości stu kilometrów nad bazą miał im zapewnić nieprzerwaną łączność telewizyjną ze stacjami na orbicie okołoziemskiej. Program badań był wprawdzie obliczony na pełnię lata, ponieważ jednak jeden rok marsjański ma siedemset dni, ich położenie względem Ziemi musiało zmienić się w tym okresie tak znacznie, że bezpośrednie połączenie ze stacjami macierzystymi byłoby, jeśli nie niemożliwe, to w każdym razie bardzo utrudnione.

Piotr odepchnął ponownie czerwoną rączkę i silniki hamujące podjęły przerwana pracę. Operacja nie była prosta – w czasie wystrzeliwania sond i satelitów na małej wysokości trzeba wyłączać automaty kontrolne układu nawigacyjnego, termostaty i silniki hamujące. Gazy wyrzucane z dysz dziobowych mogłyby zniekształcić orbitę satelity. Z kolei nie można było tak blisko powierzchni planety stopować generatorów hamujących, nie wyłączwszy przedtem bezpieczników, rakieta przedzierała się przez gąszcz cząstek i automaty same blokowały wyłącznik układu hamującego.

Manewr przebiegł pomyślnie. W ciągu dwóch sekund widzieli jeszcze w bocznym wizjerze oddalający się płomień dopalaczy sterujących satelity, potem minęli biegun i lecieli dalej nad półkulą wschodnią, w oślepiającym blasku słońca.

Piotr spojrział na zegarek.

– Za trzy godziny lądujemy – powiedział – przygotujcie się do transmisji.

Codziennie od sześciu dni, to znaczy od dnia startu, ośrodek telewizyjny Agencji Astronautycznej Narodów Zjednoczonych przeprowadzał bezpośrednie transmisje z kabiny Kopernika w programach całej półkuli wschodniej. Mieszkańcy drugiej półkuli, pogrążeni wtedy we śnie, mogli oglądać retransmisje tych programów w dowolnej porze dnia, dzięki sieci odbiorników, połączonych systemem zwrotnym z automatyczną stacją zapisów krystalicznych, centralnej ziemskiej agencji informacyjnej.

Dochodziła godzina dwudziesta ziemskiego czasu środkowoeuropejskiego, zbliżał się więc termin codziennego programu. Andrzej Batuzow, pilot i „szef łączności” Kopernika na Ziemi, jeden z najzdolniejszych konstruktorów zakładów lotniczych w Madrasie, sprawdzał sterowanie kamer przed fotelami załogi. Na monitorze kontrolnym zmieniały się obrazy dziennika telewizyjnego.

– Siadaj, Ann – powiedział Piotr.

– Naprawdę nie wiem, o czym dzisiaj mówić. – Ann Thorson, szczupła brunetka o dużych, pięknych oczach i gładkiej, matowej cerze, badała przy pomocy lusterka guz nad okiem, dzierżąc w drugiej ręce pożyczony od Leny grzebień. W wieku dwudziestu ośmiu lat była już znanym i cenionym pracownikiem Instytutu Biochemii Bałtyckiego Ośrodka Medycyny Kosmicznej.

Andrzej włączył podsłuch.

Z głośnika pod monitorem popłynął głos spikera telewizyjnego, prowadzącego dziennik. Ekran był zasnuty dymem. W kłębach rudej pary ukazywał się co kilkanaście sekund cieniutki błysk. Komentator relacjonował kolejny etap budowy wielkiego kombinatu chemicznego na Antarktydzie. Była to szósta tego rodzaju inwestycja na tym kontynencie, dostarczającym już czwartą część światowej produkcji koncentratów spożywczych z chlorelli.

Głos z Ziemi był czysty i donośny, mogło się wydawać, że mówi ktoś oddalony o kilka kroków:

– ...metodą remutacji plazmy. Nowe emitory fotonowe, najmłodsze pokolenie popularnej rodziny laserów, organizują czwarty stan materii w kierunku idealnie zgodnym z wolą budowniczych.

Spiker zrobił pauzę i uśmiechnął się.

– Komunikat Działu Koordynacji Księżycowego Ośrodka Meteorologicznego: – dziś w nocy temperatura na półkuli wschodniej będzie wynosić siedemnaście stopni. Uprowadza się jednostki pływające, że w związku z koniecznością oczyszczenia łowisk na Zachodnim Atlantyku, w ciągu najbliższych sześciu godzin wiać będą wiatry o sile czterech stopni, od czterdziestego do dziesiątego stopnia długości wschodniej.

Spiker odłożył kartkę.

– Komunikat astronawigacyjny podamy w następnym wydaniu dziennika. – Uśmiechnął się ponownie. – A teraz zapraszam państwa na kolejną wizytę w kabinie statku Kopernik, którego załoga zatknie tej nocy porządek Narodów Zjednoczonych na powierzchni Czerwonej Planety.

Na ekranie ukazała się plansza wywoławcza. Błękitna flaga i godło Planety: splecione, kolorowe koła symbolizujące kontynenty oraz stylizowane promienie słoneczne, załamujące się w otwartych dłoniach. Specjalnie dla nich wprowadzono do tego obrazu postać kosmonauty, opuszczającego raketę z wiązką kwiatów, rosnących w różnych ziemskich klimatach.

Minęli równik. Rakieta opuszczała się stosunkowo szybko. Za kilka minut na czołowym ekranie miał się ukazać pokryty jeszcze cienką warstwą śniegu biegun północny. Powierzchnia planety nie była już tak bezkonturowa jak przed chwilą. Można było odróżnić ciemniejsze pasy, porośnięte zbadanymi przez kilkadziesiąt sond kosmicznych, marsjańskimi roślinami.

Ann Thorson pośpiesznie skończyła toaletę i wzięła się do segregowania kolorowych negatywów widm cząstek, wydalanych przez tutejszą roślinność. Piotr poprawił się w fotelu i zmienił położenie głównego ekranu, by nie tracić go z pola widzenia w czasie transmisji. Lena uśmiechała się do Batuzowa, który obserwował lampkę sygnalizacyjną w pulpicie swojej centrali komunikacyjnej.

Zapłonęło nikiel, żółte światło.

– Uwaga, sygnał – powiedział Andrzej. Po chwili dodał szeptem: – Mów, Piotrze.

Potton uśmiechnął się do kamery, przywitał widzów i zrelacjonował im pokrótce drogę rakiety, przebytą od czasu poprzedniej transmisji.

Następnie Ann zademonstrowała wyniki swoich fotoanaliz i obiecała pokazać w następnej audycji oryginalne marsjańskie rośliny. Podzieliła się z widzami odkryciem nad zielonymi pasmami – słowo „zielonymi” zostało użyte w znaczeniu symbolicznym – większego niż w pustynnych rejonach planety stężenia tlenu. Potwierdzało to hipotezę mówiącą o istnieniu na Marsie pewnych – jak byśmy to powiedzieli na Ziemi – mikroklimatów. Procent tlenu w tutejszej atmosferze jest bardzo niski, szesnaście razy mniejszy od tego, jakim przywykł oddychać człowiek. Marsjańskie powietrze, to głównie azot i dwutlenek węgla. Trudno sobie wyobrazić istoty, które mogłyby się czuć ukontentowane taką mieszanką. Zresztą, od dawna było już wiadomo, że na Marsie nie ma żadnych wyżej zorganizowanych zwierząt.

Po Ann Thorson mówiła Lena.

Opisała wystrzelenie stacjonarnego satelity i przedstawiła słuchaczom system łączności między ich przyszłą bazą na powierzchni planety a stacjami ziemskimi.

Następnie skierowała obiektyw kamery w stronę ekranu.

– Cała nasza kabina – mówiła – jest zalana jaskrawym blaskiem. Z ekranów bucha światło podobne do płomieni plazmowych automatów spawalniczych. Słońce wyglądało w czasie naszej podróży jak płaska tarcza. W próżni nie dostrzega się promieni, nie widać także korony słonecznej. Po przeciwnej stronie – zmieniła położenie kamery – idealnie czarne, aksamitne niebo...

Uśmiechnęła się.

– Mówiono kiedyś, że najgroźniejszym wrogiem astronautów będzie obok cząsteczek twardego promieniowania – monotonia. Trudno nam dzisiaj mówić o podróżach międzygwiazdnych, ale mogę państwa zapewnić, że w czasie naszej wyprawy nie nudziliśmy się ani przez chwilę.

Rakieta leciała teraz nad biegunem i Andrzej skorzystał z tego, aby zademonstrować telewizjom jego śnieżną czapę. Przy okazji omówił średnie temperatury marsjańskiej atmosfery. Latem temperatura dochodzi do dwudziestu stopni. Zimą na całej półkuli panują dziewięćdziesięciostopniowe mrozy.

Kopernik obniżył się już do wysokości siedemdziesięciu tysięcy metrów. Rakieta minęła biegun. Za kilka minut miała ponownie przeciąć punkt, w którym w czasie poprzedniego okrążenia natrafiła na przeszkody, jakąś grawitacyjną „pralkę”. Andrzej opowiedział oględnie, co im się przydarzyło. Żartując, zademonstrował guz nad okiem Ann. Jeszcze raz spokojnie omówił system automatycznych bezpieczników sterowniczych rakiety. Właśnie chciał oddać głos Piotrowi, aby ten, jako szef ekspedycji, pożegnał widzów, kiedy statkiem targnął potężny wstrząs. Amortyzatory ich foteli nie były w stanie osłabić uderzenia. Z zerwanego przewodu tlenowego buchnął strumień gazu, pulpity neuraksa rozjarzył się sygnałami alarmowymi. Rakieta przekoziołkowała w locie raz i drugi, gwałtownie przyhamowując, to znowu rwąc do przodu, gnana pełną mocą swoich szesnastu silników. Ekran dziobowy płonął światłem wybuchów jądrowych, nad służą zawyła ostrzegawczo syrena termostatu. Straszliwe siły odśrodkowe wgniały im głowy i ręce w oparcie foteli, w kabinie latały z szybkością pocisków ciężkie przedmioty. Batuzow dostrzegł kątem oka zbliżającą się kamerę zdmuchniętą przed chwilą ze stanowiska koło pulpitu przekładni. Statek targnął do przodu. Andrzej chciał zasłonić się przed ciosem, ale nie pozwoliła na to trzymająca go jak w kleszczach siła przyśpieszenia. Poczuli bolesne uderzenie i stracili przytomność.

Na Ziemi, w pociemniałych ekranach telewizyjnych skakały przez jakiś czas splątane linie i rozbłyski, wreszcie pojawiła się ponownie plansza wywoławcza. Po dobrej chwili oddano głos spikerowi, który oznajmił, że transmisja została przerwana ze względów technicznych. We wszystkich instytutach i ośrodkach współpracujących przy realizacji programów kosmicznych ogłoszono stan pogotowia. W rzeczywistości był to alarm.

Poza transmisjami, przeznaczonymi dla publiczności, stałą łączność ze statkiem utrzymywały trzy bazy orbitalne, sprzężone z ośrodkami naziemnymi. Centralna Rozdzielnia, która w ostatnich latach rozrosła się w duże miasto, pływające po Oceanie Indyjskim, ogłosiła ciszę radiową. Wszystkie obserwatoria, zespoły satelitów wzmacniających, wszystkie księżycowe stacje przekaźnikowe, wycelowały swoje najczulsze anteny w miejsce, skąd dobiegły ostatnie sygnały Kopernika.

W ciągu kilkunastu sekund gigantyczne zwierciadło Rozdzielni odbierało jeszcze słabe, zniekształcone echo automatycznego urządzenia namiarowego, zainstalowanego przy silnikach statku. Potem ucichło i to.

Profesor Bo Loren, Sekretarz Naukowy Rady Astronautycznej Narodów Zjednoczonych, zwołał nadzwyczajną sesję Rady. Wezwano wszystkich specjalistów, którzy uczestniczyli w realizacji programu marsjańskiego.

Upłynęło czterdzieści pięć minut od momentu przerwania transmisji z pokładu Kopernika. Ogromna, amfiteatralna sala Pałacu Astronautów pod Neapolem była wypełniona do ostatniego miejsca. Z trzydziestu dwóch eskalatorów jeden tylko był jeszcze w ruchu. Pozostałe zatrzymano równocześnie z gongiem, obwieszczającym początek obrad.

Kiedy Paweł stanął w bocznych drzwiach trzeciego piętra, Sekretarz już przemawiał. Usiadł w fotelu, włączył automat strojenia swojego fonoptyka i umieścił w aparacie wizytówkę, czarny kryształek, opleciony miniaturową anteną. Wśród osób siedzących w pobliżu nie dostrzegł nikogo znajomego. Byli to prawdopodobnie inżynierowie, konstruktorzy i cybernetycy miejscowego ośrodka. Poczuł się niepewnie, jak zwykle w towarzystwie ludzi, mających bezpośredni wpływ na kształtowanie materialnego oblicza świata, dla których wielkie systemy matematyczne i logiczne nie były źródłem wiedzy o człowieku, a jedynie tworzywem służącym do konstruowania narzędzi i metod jego ekspansji w Kosmosie. Luminarze nauki, których znał przynajmniej z widzenia, siedzieli na dole, niedaleko stołu prezydyjnego. Oto Adam Rankon, syn Filipa Rankona, kierownika pierwszej stałej stacji księżycowej. Jego ojciec zginął w czasie próbnego wodowania kabiny wenusjańskiej na Pacyfiku. Adam Rankon był pierwszym człowiekiem, który postawił stopę na powierzchni „Planety mgieł” – Wenus. Ze strony pozostałych członków załogi był to z pewnością gest symboliczny, hołd, złożony pamięci jego ojca – chociaż Adam, twórca krzyżowego układu napędów antygravitacyjnych, który to układ zredukował ryzyko związane z lądowaniem w atmosferze praktycznie do zera, sam dobrze sobie na to wyróżnienie zasłużył.

Obok niego siedział Lew Krotin, z bujną białą czupryną i równie białą brodą. Gdyby choć część krążących o nim legend była prawdą, to Krotin z pewnością zasługiwałby na miano „rycerza astronautyki”. W ciągu dwudziestu czterech lat nie opuszczał niemal pracowni w laboratorium kaukaskim, gdzie badał własności aerodynamiczne i termiczne nowych, komponowanych przez siebie powłok statków kosmicznych. Jego dzieckiem był helokoks, „Powłoka Krotina”, z której zbudowano między innymi korpus Kopernika. Na oko materiał sprawiał wrażenie najmniej odpowiedniego do powlekania nim statków, pięciokrotnie szybszych od pierwszych rakiet księżycowych. Śnieżnobiały helokoks przypominał sztywną gąbkę o ogromnych porach lub nieregularny plaster, w którym

mogłyby gromadzić zapasy jakiejś monstrualnie wielkie pszczoły. Nie sposób było dotknąć tej powłoki nieuzbrojoną ręką. Niezwykle ostre strzepy najtwardszego ze wszystkich znanych materiałów przecinały skórę, zanim w ogóle poczuło się go pod palcami.

Lew Krotin, obecnie profesor aerodynamiki w Instytucie Kaukaskim, po opublikowaniu wyników doświadczeń stał się z dnia na dzień światową sławą. Ogromne poruszenie wywołał jego wywiad dla Agencji Astronautycznej, w którym oświadczył, że zastrzega sobie prawo pilotowania pierwszej rakiety, powleczonej helokoksem. Wszystkie kluby astronawigatorów, zespoły konstruktorskie, a przede wszystkim Zrzeszenie Pilotów, podniosły nieopisaną wrzawę. Zarzucano Krotinowi fanfaronadę, sobkostwo – była też mowa o „mentalności chłopca, bawiącego się w kosmonautę”.

Niechętna postawa specjalistów ustąpiła miejsca niekłamanemu zainteresowaniu dopiero po oświadczeniu nestora pilotów przestrzennych, Teodora Botowa, u którego, jak się okazało, Lew Krotin od półtora roku uczył się „po cichu” pilotażu.

Toteż kiedy dotarł na Ziemię meldunek, że rakieta „Wenus 9” wylądowała na powierzchni planety po locie niemal dwukrotnie krótszym od dotychczasowych i że jej pilot Lew Krotin potwierdza wyniki teoretycznych badań konstruktora Lwa Krotina, najzagorzalsi wrogowie uczonego wystosowali do niego pełne szczerego szacunku i podziwu depesze gratulacyjne.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI